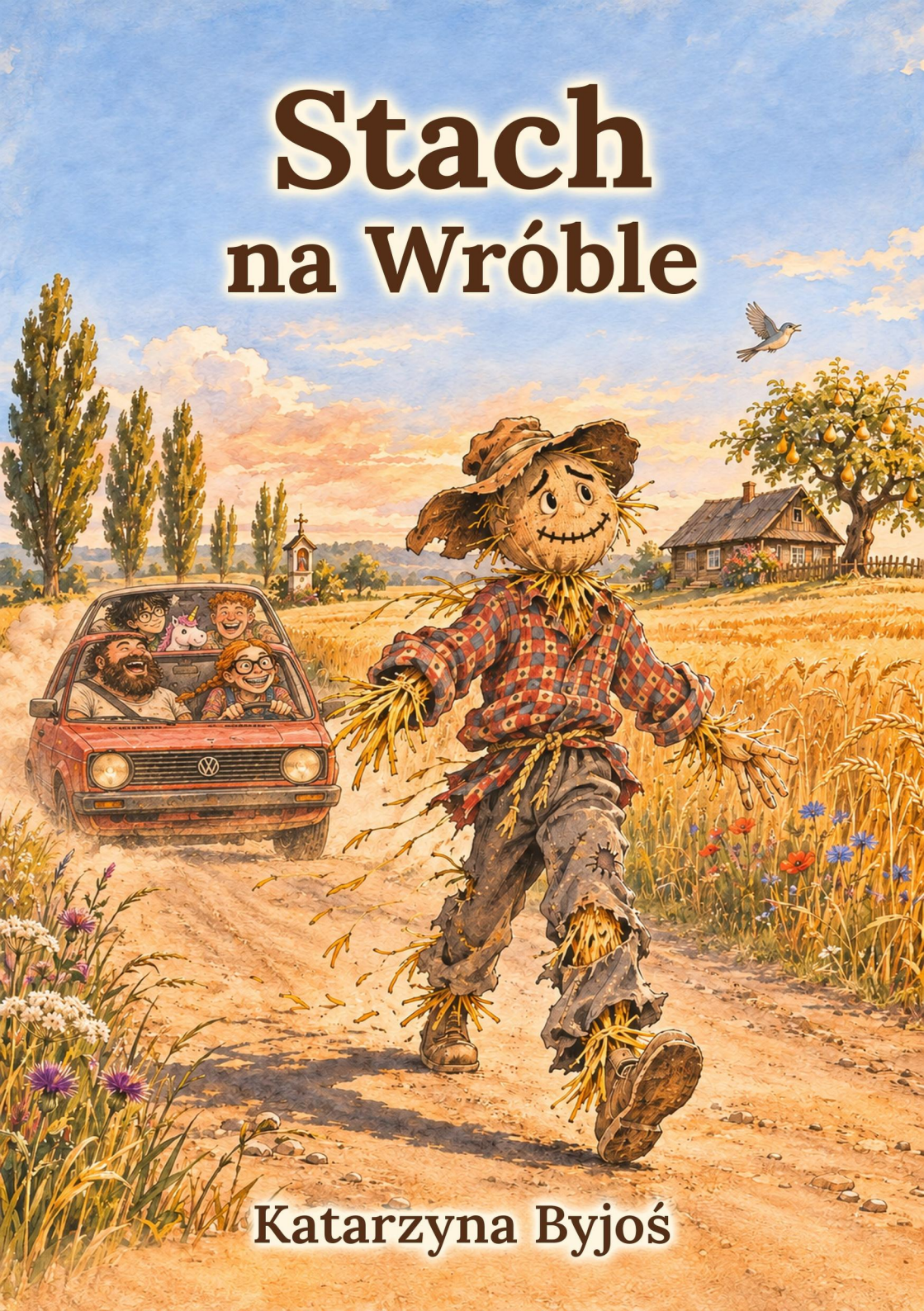
Stach na Wróble



Katarzyna Byjoś

Stach na Wróble

Katarzyna Byjoś

Otworzył oczy. Najpierw oślepił go blask wschodzącego słońca. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do światła, dostrzegł soczystą zieleń otaczającego go zboża, nad którym unosiły się leniwie poranne mgły. I znowu usłyszał ten okropny wrzask ptaków, który przed chwilą wyrwał go ze snu o nieludzko wczesnej porze. Skrzywił się, tym bardziej, że przez ten hałas poczuł silniejszy ucisk w tyle głowy, która bolała go odkąd otworzył oczy. Kolejna myśl dotyczyła pytania, co właściwie robił o świcie na środku pola. Jedyna sensowna odpowiedź wynikała ze wspomnienia wczorajszego wieczoru i nowego zioła, którym poczęstował go Leon. Tylko dlaczego kumple zostawili go samego na polu?



Z trudem ruszył z miejsca, jakby jego ciało nie do końca chciało wykonywać polecenia umysłu. Chwiejąc się i potykając, ruszył w stronę majaczącego w oddali domu. Droga przez pole

jeszcze nigdy nie wydawała mu się tak długa i męcząca, dlatego z prawdziwą ulgą otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Zdjął kapelusz i zarzucił go na wieszak, po czym ruszył do kuchni w poszukiwaniu czegoś, co zdołałoby ugasić jego potworne pragnienie. Złapał dzbanek, który stał na stole przykrytym kraciastą ceratą i wlał do gardła sporą porcję wody. Poczuł, jak chłodna ciecz dosłownie rozlewa się po całym jego ciele. Odniósł wrażenie, że nawet podłoga pod stopami zrobiła się mokra i pomyślał, że pewnie niechcący rozlał trochę wody. Spojrzał w dół. Rzeczywiście - stał w niewielkiej kałuży wody. Zobaczył też, że krople kapią na posadzkę z jego spodni. „Jego spodni" – Co to do diabła była za impreza? – pomyślał, przyglądając się dziurom w nogawkach. Zainteresowała go również słoma wystająca spod sponiewieranej odzieży. Nachylił się, żeby ją wyjąć i ze zdziwieniem zobaczył, że jest jej całkiem sporo i właściwie zasłania mu całe nogi. Chciał ją odgarnąć ręką i wtedy zorientował się, że podobna sprawa dotyczy dłoni

– cała pokryta była słomą. Z przerażeniem dostrzegł, że zasadniczo cały był w słomie.

Ruszył w kierunku ściany, na której znajdowało się wysokie lustro. Spojrzał w nie i zrobiło mu się słabo. Z lustrzanej tafli szkła spoglądał wprost na niego własnoręcznie przez niego wykonany strach na wróble. Poczuł, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg. Zamknął oczy, chcąc odegnać złe mary, a następnie ponownie je otworzył. Ku swemu przerażeniu odbicie w lustrze pozostawało bez zmian. Jakiś zapewne upiorny dowcip kolegów sprawił, że lustro się zepsuło. Podniósł rękę, nie odrywając wzroku od słomianego odbicia, a ono wiernie odzwierciedliło jego ruch. Zaczął wykonywać bardziej skomplikowane gesty, ale

strach na wróble po drugiej stronie uporczywie robił to samo. Poczuł, jak robi mu się duszno i niedobrze, jakby za chwilę miał zemdleć.

Ostatkiem sił dowlókł się do kanapy i padł. Kiedy się ocknął, z przerażeniem uświadomił sobie, że jest strachem na wróble z pola. Najpierw próbował się obudzić, będąc przekonanym, że to tylko zły sen, ale ponieważ nic to nie dało, postanowił dowiedzieć się, czego nie pamięta z wczorajszego wieczora. Pewnie ktoś robił sobie z niego niezłe jaja. Przypomniały mu się sceny z różnych filmów, a były to komedie, w których na skutek czarów ludzie zamieniali się ciałami ze sobą nawzajem, albo z innymi stworzeniami. Możliwe, że kumple chcieli, żeby myślał, że jemu przytrafiło się coś podobnego ze strachem na wróble.

Nigdzie nie mógł znaleźć telefonu i po dłuższej chwili poszukiwań doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia, jak udać się do Leona osobiście. Mieszkał najbliżej niego, a poza tym tylko on mógł mieć coś wspólnego z tak idiotyczną sytuacją, bo palił wszystko, co się dało i wiecznie miał z tego powodu dziwne przygody. Na przykład kilka dni wcześniej spędził cały wieczór snując filozoficzne rozważania z piękną nieznajomą, która następnego dnia okazała się kotem sąsiadów. Albo kiedyś zapisał się na kurs garncarstwa i pewnej nocy ulepił całą zastawę obiadową i następnego dnia się zorientował, że zamiast masy plastycznej użył psich gówien zebranych wcześniej z działki świeżo po deszczu. A do tego chwalił się, że były takie łatwe w obróbce i że to ekologiczny materiał, który mógłby opatentować.

Leon był jego najlepszym kumplem od czasów przedszkola i mieszkał dwa gospodarstwa dalej. Większość życia spędzili razem i znali się jak łyse konie. Pomagali sobie nawet w

najdziwniejszych sytuacjach, a zdaniem Stacha, ta była najbardziej zjebana ze wszystkich.

Nadal było bardzo wcześnie, dzięki czemu idąc do Leona, nie spotkał żywego ducha po drodze. Poza tym była niedziela, więc sąsiedzi nie wypuścili się w pole, a zamiast tego odsypiali ciężki tydzień pracy. Gdyby nie niepokojące okoliczności tego spaceru, musiałby przyznać, że było bardzo przyjemnie. Ciepły, letni poranek, otulał go przyjemnym, rześkim chłodem, który zapowiadał nastanie upalnego, słonecznego dnia. Jednak nie czuł się w nastroju do kontemplacji uroków natury. Kiedy po chwili dotarł na miejsce, zastał Leona śpiącego na werandzie przed domem. Nie był tym widokiem zaskoczony - noce tego lata były wyjątkowo ciepłe. Sam nieraz usypiał na huśtawce i dopiero w okolicach świtu przenosił się do łóżka. Nie zamierzał czekać, aż tamten się obudzi, bo to mogłoby nastąpić dopiero za kilka godzin, a sprawa była w jego odczuciu co najmniej pilna.

Zaczął szturchać swojego śpiącego koleżkę. Początkowo delikatnie, ale ponieważ nie przynosiło to żadnych efektów, tarmosił nim coraz mocniej. Wreszcie Leon zassał głośno powietrze, jakby się dusił, chrząknął i otworzył lekko jedno oko. Natychmiast je zamknął i odwrócił się na drugi bok.

– Leon, wstawaj! – nie dawał za wygraną i znowu go szturchnął.

Chłopak odwrócił się ponownie w jego stronę i otworzył oczy.

– Co jest, kurwa? – zapytał.

– To ja. Nie wiem, o co chodzi. Taki się dzisiaj obudziłem. Musisz mi powiedzieć, co się wczoraj działo.

– O nie, nie, nie! – wymamrotał Leon, kręcąc przy tym przecząco głową i machając ręką przed oczami, jakby chciał

odegnać złą marę. – Nie, nie, nie – powtórzył. – Nie kupię już tego zioła.

– Daj spokój, to ja. Nie masz zwidów.

– Nie dam się w to wkręcić. – odpowiedział, wciąż kręcąc przecząco głową. – Jaki kurwa „ja"? – spytał jednak po chwili.

– No ja, Staszek.

– O kurwa. Ale przyjarałem.

– Możliwe i pewnie ja też, ale co się działo? Pamiętasz coś?

– Nie będę gadał ze strachem na wróble.

– Mordo, to ja. Musisz mi pomóc – ton Staszka stawał się coraz bardziej błagalny.

– Co ci się stało? – spytał Leon, usiłując jednocześnie przeprowadzić skomplikowane procesy myślowe, żeby jakoś objąć to rozumem.

– Właśnie tego nie wiem. Obudziłem się taki na polu. Poszedłem do domu i dopiero się zorientowałem, że coś jest ze mną nie tak. Myślałem, że to jakiś twój wyrafinowany kawał, że coś wymyśliliście z chłopakami, żeby mnie wkręcić.

Leon trzęsącymi się dłońmi od paru chwil bezskutecznie próbował zapalić papierosa.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – wybełkotał przez zęby, nie mogąc odpalić zapalniczki.

– Daj ci podpalę – zaproponował Staszek, czując, że to przez niego.

– Wiesz, dzięki, ale to chyba nie jest dobry pomysł, chyba że chcesz stać się wielką pochodnią – zauważył wyjątkowo przytomnie.

– Kurwa, racja… – westchnął ciężko strach.

Kolejna próba zapalenia papierosa zakończyła się wreszcie sukcesem i chłopak zaciągnął się głęboko dymem. Pociągnął łapczywie kilka machów i wstał. Przeszedł na drugi koniec werandy i z powrotem. Spojrzał na Staszka i powiedział:

– To pewnie przez Tomka.

– Dlaczego?

– Naprawdę niczego nie pamiętasz?

– Nie wiem. Pamiętam, że siedzieliśmy u ciebie w piwnicy, piliśmy, a później poczęstowałeś nas nowym zielskiem. I tyle.

– No, czyli niczego nie pamiętasz! – Leon ponownie zaciągnął się papierosem. – Siedzieliśmy z Rafałem i Mariuszem. Mariusz przyrządził swój wystrzałowy koktajl, po którym zwykle zrywa się film, ale nie masz kaca. Przepisu strzeże jak babka pończoch. Ale sam nie pił, bo dzisiaj miał zawieźć matkę na pogrzeb stryja. A potem przyszedł Tomek i przyprowadził tę dziwną koleżankę, jakąś nawiedzoną hipiskę, czy coś. Poubierana była w kolorowe chusty, a w jej włosach mieszkał ptak. Jednak nie to było najgorsze, bo okazało się, że jest cygańską wiedźmą, czy coś takiego. Jakieś czary tu odczyniała. Ja sam wszystkiego nie pamiętam, ale w pewnym momencie wdałeś się z nią w długą i burzliwą dyskusję. Miałem wrażenie, że o coś się założyliście, ale grałem wtedy z Rafałem w worldcrafta i nie interesowałem się wami jakoś szczególnie.

– Dobra, to może właśnie ona mi to zrobiła. Musimy z nią pogadać – w głosie Stacha na wróble dało się wyczuć nieśmiałą nadzieję.

– Ok, dzwonię do Tomka – postanowił Leon, po czym wziął do ręki komórkę i wybrał numer kolegi. – Tom, słuchaj, jest sprawa. Pamiętasz tę nawiedzoną Rumunkę, którą przyprowadziłeś

wczoraj do nas? [...] Natalia? Niech będzie Natalia. No to musisz przyjść z nią do mnie, jak najszybciej. [...] Zobaczysz na miejscu. [...] Chodzi o Staszka. Nie wiem, czy mu czegoś nie zrobiła. [...] No mówię ci, że sam zobaczysz. Proszę, przyjdźcie jak najszybciej. – Rozłączył się i odezwał do kolegi – Kazałem mu przyjść. Zresztą sam słyszałeś. Chcesz coś do picia?

– Chciałbym – odpowiedział. – Ale wszystko przeze mnie od razu przecieka.

– No tak, słaba sprawa. Mam nadzieję, że szybko przyjdą i to odkręcą. Chodź, włączymy sobie jakiś film.

Nie musieli długo czekać. Mniej więcej po piętnastu minutach do piwnicy Leona, przerobionej na nocne królestwo gier i zabaw, wpadł lekko podekscytowany Tomek. Jego koledzy siedzieli na kanapie przed dużym telewizorem. Słysząc kroki na schodach, odwrócili się w kierunku wejścia.

– Hej! – przywitał się Tomasz. Był wysokim, chudym brunetem z długą grzywą i nosił małe okulary w metalowych oprawkach. – A gdzie Stacho?

Leon w odpowiedzi wskazał wzrokiem siedzącego obok niego stracha na wróble.



– Hahaha. Spoko. A tak na serio?

– Serio, serio – powiedział Leon z poważnym wyrazem twarzy.

– Cześć Tomek – powiedział strach na wróble głosem Staszka.

Tomek odskoczył jak oparzony. Wydał z siebie piskliwy wrzask i zasłonił twarz rękoma. Po chwili opanował się i popatrzył znowu w kierunku kanapy, z której zdążyli już wstać Leon i Staszek.

– O kurwa. Co jest?! – zapytał drżącym głosem. – Kto ci zrobił taką stylizę?

– Obudziłem się już taki na polu – wyjaśnił Staszek, jakby to była całkiem oczywista informacja.

Tomasz przez dłuższy moment patrzył na niego dzikim wzrokiem, jakby próbował przetrawić i przyswoić sobie niewiarygodną i przerażającą informację.

– A gdzie Natalia? – spytał Tomasza Leon, przerywając milczenie.

– Dzisiaj z samego rana pojechała w góry – odpowiedział, ledwo poruszając wargami i nie odrywając oczu od stracha. – Mają jakiś zjazd cygański, czy coś tam.

– Kurwa! – zaklął Staszek.

Zapadła niezręczna cisza. Tomasz gapił się dzikim wzrokiem na Staszka, jakby zapominając nawet, że musi oddychać. Usiłował znaleźć w głowie chociaż jedną rozsądną myśl, żeby się jej uczepić. Bezskutecznie.

– Stary, obudź się! – powiedział Leon do Tomka podniesionym głosem i klasnął mu dłońmi przed nosem. To pomogło Tomkowi ocknąć się z odrętwienia i paraliżu umysłowego, bo oderwał wzrok od stracha i popatrzył już nieco przytomniej na Leona.

– Nie mogę się z nią skontaktować. Chyba ma tam słabo z zasięgiem.

– Daleko to? – spytał rzeczowo Leon.

– Nie wiem, jakieś pięć godzin jazdy samochodem.

– Dobra, w takim razie musimy ruszać. – Zadecydował.

– Żartujesz? – Tomkowi ten pomysł wydał się niedorzeczny. – A co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

– Pewnie to ona odczyniła jakieś czary i Staszek zamienił się w stracha na wróble.

Tomasz roześmiał się nieco histerycznie: – Chyba cię pogięło… – powiedział ni to ze śmiechem, ni to ze łzami.

– A jak to wytłumaczysz? – powiedział, wskazując na stracha. – Słyszałem, że Natalia bardzo zawzięcie o czymś z nim dyskutowała. Chyba Stacho ją wkurwił swoimi poglądami na

temat podziałów społecznych, a później się obudził już taki – spojrzał znacząco na słomianego kumpla.

– Ale że niby jak ona miałaby to zrobić? – Tomasz nie wierzył w to, co słyszy. Zresztą nie wierzył też w to, co widzi.

– Mówiłeś, że jest Cyganką, czy coś takiego i że zajmuje się czarną magią – Leon próbował mu wyjaśnić swój tok rozumowania.

– Przecież to takie wygłupy były. Nie wierzę, że to mówisz. Jeszcze jesteś naćpany, czy coś? – Tomek nie przestawał przecząco kiwać głową, jakby się zaciął w tym geście.

Strach na wróble stał nieco z boku i przysłuchiwał się całej rozmowie. Nadzieja, która zakiełkowała w nim wcześniej, zaczęła stopniowo słabnąć i znowu poczuł ogarniającą go panikę. Zrobiło mu się ciemno przed oczami i poczuł słodki smak w ustach. Ocknął się na kanapie, a nad sobą zobaczył dwie zatroskane twarze kolegów.

– Lepiej ci? – zapytał Leon z troską w głosie, a na jego piegowatej twarzy, otoczonej rudymi loczkami, malował się niepokój. – Słuchaj, nie martw się. Pojedziemy w te góry do Natalii. Może ona będzie miała jakiś pomysł, co z tym zrobić. Prawda? – spojrzał na Tomka, oczekując potwierdzenia.

– Tak, tak. W sumie co nam szkodzi spróbować. – Odpowiedział posłusznie Tomek, bo w tak zwanym międzyczasie, kiedy Staszek leżał nieprzytomny, przeprowadzili z Leonem męską rozmowę i postanowili, że zdrowie i życie kolegi jest najważniejsze, więc skoro nawet udział Natalii w przeobrażeniu Stacha wydaje się być niedorzeczny, to może chociaż będzie miała jakiś pomysł, jak mu pomóc, bo zna ludzi, którzy znają ludzi, którzy „robią czary". Dlatego należy wsiąść w

samochód i do niej pojechać. Plan wydawał się podejrzanie prosty, ale zazwyczaj najprostsze rozwiązania w rezultacie są najlepszymi.

W trakcie przygotowywania ekspedycji okazało się, że samochód Tomka był w naprawie, autem Leona pojechała do pracy jego mama, a Staszek miał tylko rower. Niezbędne okazało się zaangażowanie Rafała, który dysponował wygodnym, siedmioosobowym vanem, aż za dużym jak na potrzeby tej wyprawy. Uzgodniono, że Tomek do niego zadzwoni i postara się w przystępny sposób namówić go na wyjazd w góry, bez ujawniania przez telefon wszystkich szczegółów, bo w przeciwnym wypadku nie zostałby potraktowany poważnie.

Szczęśliwie Rafał nie miał żadnych ciekawszych planów na niedzielę i z chęcią przystał na propozycję wypadu w góry. Jako cel Tomek podał mu bliżej niesprecyzowane powody towarzyskie, a w szczególności dotyczące swojej silnej potrzeby zobaczenia się z Natalią, do której, jak wiadomo, podbijał od dawna. Kolegom pozostało jeszcze tylko przeprowadzić Rafała przez etap szoku i niedowierzania, jaki niewątpliwie będzie musiał przeżyć na widok Staszka. A później, jak założyli, to już będzie bułka z masłem.

Rzeczywiście Rafał przeszedł coś na kształt załamania nerwowego, po tym, jak na miejscu, w piwnicy Leona, wtajemniczono go w szczegóły dotyczące prawdziwego powodu wyjazdu. Patrzył na stracha, a później na kolegów i na przemian śmiał się, i płakał. Prawdziwymi łzami. To była pierwsza tego typu reakcja odkąd Staszek stał się Stachem na wróble.

Jednak Rafał dosyć szybko się ogarnął, być może dzięki temu, że jego reakcja płaczem szybko uwolniła i rozładowała targające

nim emocje. Stojąc na środku pokoju, podciągnął spodnie zsuwające mu się z grubego brzucha, podrapał się po krzaczastej brodzie i zaprosił kolegów do samochodu, którym wcześniej podjechał pod sam dom Leona.

Przestronne wnętrze kilkunastoletniego Chryslera nosiło wiele śladów przebytych imprez – wszędzie porozrzucane były puste opakowania po napojach, przekąskach, papierosach, a nawet po prezerwatywach. Nikt z obecnych nie był tym widokiem zaskoczony, bo każdy miał w tym swój udział. Różnica polegała na tym, że zazwyczaj, kiedy wsiadali do tego auta, było już ciemno na zewnątrz, a poza tym nigdy nie byli tak trzeźwi jak teraz, z wyjątkiem kierowcy, który najczęściej wyłaniany był w drodze losowania i musiał to wszystko znosić bez znieczulenia.

– Musimy tu kiedyś posprzątać – powiedział Rafał, przerywając niewygodne milczenie, a pozostali pokiwali w milczeniu twierdząco głowami i zajęli miejsca.

Tomek zajął miejsce obok kierowcy, głównie dlatego, że jako jedyny wiedział dokąd jadą. Leon ze strachem na wróble zajęli miejsca za nimi. Z każdym ruchem Staszka sypały się z niego kawałeczki słomy i bardzo szybko cała tylna, welurowa kanapa, została nimi oblepiona. Leon poprawił mu kapelusz, żeby możliwie jak najbardziej zasłonił jego straszne oblicze i żeby nie zwracał na siebie uwagi przypadkowo mijanych podróżnych. Atmosfera w aucie była dosyć napięta, jako że okoliczności były co najmniej nietypowe i nikt nie czuł się swobodnie.

Z pomocą jak zwykle przyszedł Leon, który nie wiadomo skąd wyciągnął litrową butelkę wódki, odkręcił, wziął łyka i podał ją Tomkowi. Rafał też wypił jednego szota, ale od razu zaznaczył, że na tym koniec. Staszek nie mógł się napić z powodów

oczywistych. Ale od czego ma się przyjaciół. Leon popatrzył na niego w zamyśleniu, następnie poszperał w kieszeniach i sprawnie, jakby robił to od zawsze, przygotował skręta i lufkę.

– Masz, zajaraj. W ten sposób jesteś bezpieczny przed żarem. – Zaproponował, podając mu trawkę.

Staszek z wdzięcznością przyjął poczęstunek i zaciągnął się dymem. Powolutku cały dym wypełnił jego słomiane ciało i każdą szczelinką zaczął wydobywać się na zewnątrz. Strach stęknął z zadowoleniem, oparł się wygodnie w fotelu i odchylił głowę. Na ile był w stanie, na tyle się uśmiechnął.

– Taaak – zamruczał. – Tego mi było trzeba.

– A przy okazji wszyscy się zjaramy, bo cały dym i tak leci do środka – ucieszył się Tomek.

I tak z każdą minutą w samochodzie robiło się coraz weselej, ponury nastrój ustąpił miejsca radosnej ekscytacji. Teraz każdy zaczynał cieszyć się z tej nieplanowanej, niedzielnej wyprawy i szukać pretekstu do żartów.

– Ty, Staszek – odwrócił się Tomek. – A ty to cały jesteś taki słomiany?

– Ale co masz na myśli? – odpowiedział pytaniem strach na wróble.

– No wiesz, na przykład małego też masz ze słomy?

– Z tego, co pamiętam, to tak – zaśmiał się Staszek.

– To znaczy, że sprawdzałeś? – zainteresował się Rafał.

– To znaczy, że robiłem. – odpowiedział.

– Co robiłeś? – tym razem Leon przyłączył się do rozmowy.

– W sensie pamiętam jak go robiłem, znaczy siebie robiłem. Ojciec mnie prosił kilka miesięcy. Wreszcie zaczął mi grozić, więc pewnego wieczora po pijaku postanowiłem zrobić mu tego

jebanego stracha na wróble. No i szkoda mi było gościa, żeby stał taki smutny bez jaj, więc zaplotłem mu wszystko jak trzeba i nie żałowałem materiału. – powiedział i zaczął się śmiać.

Wszyscy zaczęli rechotać i rozśmieszać się wzajemnie, aż samochód zahuczał od wybuchów wesołości, które były poprzedzane rzucanymi przez kolegów komentarzami w stylu: „to trzeba ci teraz jakąś pannę znaleźć", „stary, nie wiem czy jestem gotów, ale chyba chciałbym to zobaczyć" i odpowiedź: „na to nigdy nie będziesz gotów", albo „czy mógłbyś mi też zrobić takiego", na co odpowiedź: „a co, masz małego jak piątoklasista?", itp., itd.

W tej atmosferze minęły dwie pierwsze godziny podróży, aż Rafał oznajmił, że muszą zatankować. Wszyscy, oprócz Stacha, zareagowali entuzjastycznie, ponieważ odczuwali silną potrzebę skorzystania z toalety, a strach na wróble nie miał szczególnych potrzeb fizjologicznych. Wcześniej chciało mu się pić, ale jak rozlał po sobie dzbanek wody, to do tej pory był przemoknięty. A teraz dodatkowo czuł w sobie resztki cudownego dymu i to mu wystarczało do szczęścia. Leon kazał mu się na wszelki wypadek położyć na kanapie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Trzej jego koledzy, po zatankowaniu samochodu do pełna, czym prędzej udali się do budynku stacji benzynowej. Rafał poszedł zapłacić, a Leon z Tomkiem niemal biegiem skierowali się do toalety. Po załatwieniu pilnych potrzeb, wrócili do głównej sali i razem z Rafałem zaczęli buszować między regałami w poszukiwaniu smakołyków i napojów na dalszą podróż.

Tymczasem Staszek poczuł ogarniające go rozluźnienie, ułożył się wygodniej na tylnej kanapie i zamknął oczy, oddając się krótkiej drzemce, którą przerwał dźwięk zamykanych drzwi

samochodu. Pomyślał, że chłopcy szybko wrócili, bo spodziewał się, że znacznie dłużej zabawią na stacji. Otworzył oczy i zamarł. Na siedzeniu kierowcy siedział właśnie mały, pękaty i całkowicie nieznajomy jegomość, który rozglądając się nerwowo po wnętrzu samochodu natrafił wzrokiem na stracha. Z beznamiętnym wyrazem twarzy gapił się na niego przez chwilę, która Staszkowi wydawała się wiecznością, po czym uśmiechnął się sam do siebie, pokręcił głową i odwrócił się w stronę kierownicy. Wyraźnie ucieszył się widokiem kluczyków w stacyjce. Odpalił silnik i odjechał z piskiem opon.

W tym samym momencie Rafał, Tomek i Leon wyszli ze stacji. Widząc odjeżdżający samochód zastygli w bezruchu, chwilowo nie zdolni do jakiejkolwiek reakcji.

– Co jest, kurwa? – odezwał się wreszcie Leon. – Staszek nam uciekł? – Cała jego niewysoka i bardzo muskularna sylwetka odzwierciedlała konsternację, a w błękitnych, jak lazur nieba oczach malowało się zakłopotanie.

– Bez sensu. Po co miałby to robić? – odpowiedział Tomasz pytaniem. Po czym znowu zapadło milczenie, bo nikt nie wiedział, co powiedzieć.

– Co robimy? – wreszcie przerwał ciszę Rafał.

– Musimy jakoś ustalić co się właśnie stało – zaproponował Leon.

– Racja, tu na pewno są kamery, może pozwolą nam zobaczyć nagranie – zauważył Rafał, podciągając spodenki, które znowu zsunęły mu się z wystającego brzucha.

Tak też zrobili. Wrócili do sklepu i poinformowali sprzedawcę, że ktoś im właśnie ukradł samochód. Tamten wysłuchał ich uważnie i stwierdził, że należy natychmiast dzwonić na policję. Z

trudem przekonali go, by najpierw pokazał im nagranie. Facet poklikał coś w laptopie i przywołał ich ruchem ręki. Wszyscy czterej wbili wzrok w wyświetlacz. Na nagraniu widać było, jak Rafał kończy tankowanie, później we trzech idą do środka, następnie podjeżdża czerwona furgonetka i częściowo zasłania ich samochód. Po zatankowaniu furgonetka odjeżdża i widać tyłem małego, łysego faceta, który wsiada do ich vana, a po chwili odjeżdża w kierunku, w którym sami planowali jechać.

– To ten krasnal zajebał nam auto! – wykrzyknął Tomasz.

– Nawet nie widać go z przodu, trudno ustalić, kto to jest – zauważył rozsądnie sprzedawca.

– Musimy go dogonić – stwierdził po zastanowieniu Leon.

– Serio? Jak? Będziemy biegli? – spytał ironicznie Rafał.

– Dzwonię po gliny – poinformował sprzedawca, chwytając za telefon.

– Nie, poczekaj – przeszkodził mu Leon, a na jego twarzy malowało się skupienie, jakby wykonywał intensywny wysiłek umysłowy. – Możliwe, że to był nasz znajomy – powiedział i odwrócił się do swoich kolegów, puszczając im porozumiewawcze oczko. Gapili się na niego tępo, nie rozumiejąc, o czym mówi. A on ciągle mrugał okiem, żeby dać im znać, że to taki podstęp.

– Aaa, rzeczywiście – podłapał Rafał i uśmiechnął się, klepiąc się w czoło. – To pewnie wujek Mateusz. Przecież miał odebrać od nas auto. – Tomasz popatrzył na niego dziko, czując się, jakby zwariował.

– To po chuj mi tu dupę zawracacie? – zdenerwował się sprzedawca.

– Nie no, bardzo przepraszamy i w ogóle – starał się załagodzić sytuację Leon. Chciał jakoś odwrócić uwagę faceta od tematu skradzionego samochodu i nie mając lepszego pomysłu, powiedział: – To najlepsza stacja benzynowa, na jakiej kiedykolwiek tankowałem. Najwyższy poziom obsługi. I taka nowoczesna. A to zaopatrzenie… – dodał, zataczając łuk ręką. – Będę ją wszystkim polecał!

Ku jego radości, ta gadka przyniosła zamierzony skutek, bo sprzedawca nieco spuścił z tonu, zrobił minę dobrego wujka i poklepał Rafała po ramieniu. Chłopcy czym prędzej wyszli z budynku i stanęli na uboczu, w miejscu niewidocznym dla kamer, zastanawiając się, co robić dalej.

– O co chodziło z tym wujkiem Mateuszem? – spytał Tomasz, dalej nie mogąc zrozumieć, co się dzieje.

– No kurwa chyba nie chcesz, żeby nam gliny znalazły Staszka, który jest strachem na wróble. Masz pojęcie, co by z nim zrobili? – wyjaśnił Leon, a Tomek zrobił na to przeciągłe „aaaa" unosząc, a następnie opuszczając głowę w geście potwierdzającym, że wreszcie załapał.

Tymczasem na stację benzynową podjechał stary, czerwony golf, z którego wysiadła ubrana na kolorowo dziewczyna. Miała rude włosy, zaplecione w warkoczyki i piegowatą buzię, na której nosiła duże okulary, w czarnych, grubych oprawkach. Wyglądała jak klasyczna brzydula. Była chuda i zgarbiona. Typ dziewczyny z kompleksami, która stanowi pośmiewisko dla rówieśników.

Rafał wpadł na genialny, jego zdaniem, pomysł. Nakazał kolegom nie ruszać się z miejsca, a sam poszedł w kierunku dziewczyny.

– Cześć, Maleńka – odezwał się do niej szarmancko.

Spojrzała na niego z wyrazem zakłopotania i nieufności na twarzy.

– Mam praktyki na stacji i pomagam tankować – pospieszył z wyjaśnieniami.

– Ahaaa – stęknęła i kiwnęła głową na znak, że rozumie.

Zanim zdążyła zareagować, odkręcił korek zbiornika paliwa, chwycił wąż i umieścił go w baku.

– Do pełna, czy jak? – zapytał głębokim, kokieteryjnym głosem, zaglądając zdezorientowanej dziewczynie prosto w oczy.

– Tak, poproszę – odpowiedziała nieśmiało, wyraźnie zakłopotana.

– Jak masz na imię? – kontynuował bajerę.

– Eeee, Edyta – odrzekła ledwo słyszalnie.

– Jakie ładne imię! – zareagował entuzjastycznie.

– A dokąd się wybiera ślicznotka Edyta?

Rozejrzała się, jakby szukając wzrokiem osoby, do której skierowane było pytanie. Kiedy zorientowała się, że to ona jest adresatką, „spaliła buraka". Wreszcie zdobyła się na odwagę i odpowiedziała: – jadę w góry, na festiwal folkloru.

– Serio? Niemożliwe! – zaszczebiotał Rafał, kończąc tankowanie. – Normalnie co za zbieg okoliczności, bo ja z kumplami właśnie się tam wybieramy.

– Och, tak? – spytała z wymuszonym uśmiechem, odsłaniając aparat ortodontyczny na zębach.

– Tak, tylko planowaliśmy się z kimś zabrać, bo nie mamy auta. Dorzucamy się do paliwa – dodał pospiesznie.

– No nie wiem – odparła, uśmiechając się sztucznie. – Raczej wolałabym jechać sama – powiedziała, rozglądając się nerwowo, jakby szukała pomocy.

– Nie bój niczego, z nami to tylko lepiej: do paliwa się dorzucimy, gwarantujemy towarzystwo i bezpieczną podróż! – Mówiąc to, kiwną ręką na chłopaków, żeby podeszli.

Edyta odruchowo spojrzała w tamtą stronę. Dopiero wtedy ich zauważyła. Ich sylwetki wyłaniały się z wolna ze strefy cienia rzucanego przez dach budynku. Przyglądała się, jak idą do nich niczym Fil i Flap - jeden niski, napakowany do granic wytrzymałości, wytatuowany i dziwnie wygolony po bokach głowy, ale za to szeroko uśmiechnięty. Sprawiał jej zdaniem wrażenie sympatycznego gościa. Drugi wysoki, szczupły - żeby nie powiedzieć chudy - z gęstą, czarną czupryną opadającą zawadiacko na ciemne jak węgielki oczy, przesłonięte małymi okularami. O tak, ten był jej zdaniem piękny jak młody Bóg. W zasadzie to przeważyło, bo nie zastanawiając się dłużej, powiedziała do Rafała: – Dobrze, ale ja decyduję o wszystkim: o trasie, o postojach, o prędkości – o wszystkim!

– Jasna sprawa – odpowiedział jowialnie, nie kryjąc zadowolenia. – Panowie, to jest Edyta, która zgodziła się zabrać nas w góry, na festiwal folkloru, na który się wybieramy – zwrócił się do kolegów, puszczając im porozumiewawcze oczko, przez co poczuli się potraktowani jak idioci.

Przywitali się z dziewczyną uściskiem dłoni. Tomasz dodatkowo obdarowany został nieśmiałym uśmiechem. Po krótkiej wymianie uprzejmości, Rafał, żeby nie wyjść na gołosłownego, poszedł od razu zapłacić za paliwo. Zapasy na drogę zdążyli zrobić wcześniej, zanim krągły łysielec

podprowadził im auto. Nie pozostawało zatem nic innego, jak ruszać w drogę.

Wnętrze starego golfa urządzone było jak pokój nastolatki. Siedzenia obleczone były futerkowymi pokrowcami w kolorze ecru, podobnie jak kierownica, a na półce za tylnymi siedzeniami siedziało kilka pluszaków. Na lusterku wstecznym zawieszone były trzy płyty cd, a całości dopełniał unoszący się uporczywie w powietrzu zapach wanilii.

„No to pięknie" – pomyślał Leon, czując lekki zawrót głowy i nudności zarówno z powodu zapachów, jak i wystroju wnętrza samochodu. Podobne odczucia mieli jego koledzy, ale wszyscy robili dobrą minę do złej gry, mając na względzie, że poświęcają się dla swojego kumpla Staszka, a zatem w szczytnym celu godzą się na nurzanie się w mdłych słodkościach. Prawda była też taka, że nikt ich do tego nie zmuszał, a zatem musieli uznać, że chcącemu nie dzieje się krzywda. Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, po włączeniu silnika z głośników dobyły się niebiańskie trele jakiejś wokalistki, która oznajmiała całemu światu, jak bardzo jest szczęśliwie zakochana. Tak rozpoczęła się podróż szlakiem skradzionego vana Rafała, a jeszcze nawet bardziej śladami ich kumpla stracha na wróble.

Tymczasem we wspomnianym vanie na tylnej kanapie wciąż leżał Staszek, udając kogoś, kim przecież nie był – bezosobowego stracha na wróble. Obserwował, jak grubas drapie się po świecącej łysinie tłustymi paluszkami, jak następnie dłubie sobie w uchu i wyciera łapę o ciasną kamizelkę w stylu bezrękawnika, jakie zakłada się na wyprawy typu safari. „Co za oblech" – pomyślał Stach, a później zaczął usilnie analizować swoją nieciekawą sytuację i szukać jakiegoś wyjścia z niej. Po

chwili zastanowienia postanowił nieco zdezorientować złodzieja. Dlatego korzystając z momentu, kiedy grubas zaczął grzebać przy radiu i nie patrzył w tylne lusterko, zmienił swoją pozycję z leżącej na siedzącą.

Typ za kierownicą znalazł stację z jakąś obciachową, w odczuciu Staszka, nutą i wyprostował z zadowoleniem na fotelu. Jego uśmiechnięta gęba pojawiła się w lusterku, zerkając odruchowo wprost na słomianego pasażera. Momentalnie grymas zadowolenia zniknął z jego twarzy, a w jego miejsce pojawiła się mieszanka niepokoju i dezorientacji. Spojrzał przed siebie na drogę i znowu w lusterko, po czym odwrócił się, żeby lepiej zobaczyć, o co chodzi. Omiótł bezrozumnym spojrzeniem stracha na wróble i odwrócił się w ostatniej chwili, żeby wrócić na swój pas, zanim poszedłby na czołówkę z nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówką. Tir głośno i przeciągle zawył klaksonem. Złodziej samochodu odetchnął ciężko i otarł owłosionym przedramieniem pot z czoła.

Zerknął w lusterko i tym razem nie ujrzał stracha. Natychmiast, niemal histerycznie odwrócił się i zobaczył, że straszydło znowu leży jak wcześniej, jakby wcale się nie ruszało. Szybko odwrócił się w stronę kierownicy, żeby znowu nie zjechać z pasa, a jego głośny, przyspieszony oddech wypełnił wnętrze vana. Ku niezadowoleniu Staszka, dało się też wyczuć coraz intensywniejszy smród potu tłuściocha. Chłopak postanowił pójść dalej w temacie dezorientacji przeciwnika i bezszelestnie położył się w drugą stronę, tak że głowę miał tam, gdzie wcześniej nogi. Kiedy kierowca ponownie się do niego odwrócił i ujrzał stracha na wróble leżącego na odwrót, z przerażeniem podskoczył na fotelu i piskliwie wrzasnął: „co jest,

do chuja?!”. Gwałtownie wcisnął pedał hamulca, aż przypalił opony. Jako że słomiany Staszek był lekki, to w trakcie hamowania spadł z siedzenia i znalazł się pomiędzy fotelami.



Facet wysiadł z auta, otworzył tylne drzwi, wyciągnął stracha za draki i rzucił go na trawę rosnącą na poboczu. Zaklął kilka razy szpetnie w kierunku Staszka, potarł dłonią o dłoń, podciągnął portki, wsiadł do samochodu i odjechał.

„Przynajmniej przeżyłem” – pomyślał Staszek, szukając jasnych stron całego zajścia. „Mogłem zginąć w zderzeniu z tirem, albo od uderzenia w tył przez samochód, który mógłby jechać za nami i nie zdążyć wyhamować, kiedy ten zjeb stanął w miejscu z piskiem opon.” – pocieszał się w myślach. Podniósł się z trawy i otrzepał ubranie. Po vanie nie było już śladu. Z braku innych pomysłów zaczął iść w kierunku, z którego przyjechał, pamiętając o tym, żeby zastygać w bezruchu na widok jadących

samochodów. Szczęśliwie ruch był niewielki, więc miał szansę się przemieszczać, nie zwracając na siebie uwagi.

W niedzielne przedpołudnie mieszkanka pobliskiej wioski wybrała się na jagody do lasu. Była to żywotna 85-latka o imieniu Leokadia, mieszkająca samotnie w starej, rozpadającej się chałupie. Nie narzekała na swój los i z pokorą przyjmowała wszystko to, co ją spotykało. Wierzyła w swoje zdrowe zmysły. Aż do tego dnia.

Kiedy po dłuższej wędrówce uzbierała dwa litrowe słoiczki jagód, postanowiła wrócić leśną ścieżką do drogi, a następnie wzdłuż jezdni do domu. Pomimo swojego wieku, wzrok miała sokoli, podobnie jak wyostrzony słuch. Zbliżając się do skraju lasu zobaczyła, jak coś rusza się w trawie przy drodze. Przystanęła, obawiając się, że to może być jakieś dzikie zwierzę, potrącone przez samochód, które w szoku może dziwnie się zachować.

Dlatego zastygła w bezruchu, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Po chwili zobaczyła, jak z trawy lekko i swobodnie podnosi się najprawdziwszy na świecie strach na wróble. Poczuła, że robi jej się słabo, więc oparła się na swoim kiju, służącym jej za laskę do dłuższych wędrówek i zaczęła gorączkowo analizować, czy aby na pewno wszystkie grzyby, które zebrała i spożyła poprzedniego dnia, były jadalne. Była grzybiarką niemal przez całe swoje życie, więc o pomyłce nie mogło być mowy. Przypomniała sobie jednak, że kilka okazów dostała od sąsiadki i wrzuciła je do sosu razem ze swoimi. „Tak, pewnie się strułam" – pomyślała, starając się uspokoić myśli.

Tymczasem strach na wróble otrzepał swoje łachmany, wyprostował się i ruszył przed siebie. Widząc to, Leokadia

kilkukrotnie przetarła oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, strach stał w bezruchu w trawie przy jezdni. Miała nadzieję, że to, co widziała wcześniej, to tylko zwidy były. Jednak chwilę później, po tym jak jezdnią przejechało kilka kolejnych samochodów, słomiane straszydło ponownie ruszyło przed siebie. Właśnie wtedy jej nadzieja na zachowanie zdrowych zmysłów umarła.

– Zgiń, przepadnij maro nieczysta! – powiedziała drżącym głosem w stronę stracha na wróble z piekła rodem. Podniosła z ziemi dwa patyki i skrzyżowała je przed sobą na znak krzyża pańskiego. W niczym to nie pomogło, bo strach nieczuły na boskie znaki, na przemian zatrzymywał się, to znów ruszał i z całą pewnością ani nie zginął, ani nie przepadł, za to po pewnym czasie oddalił się od Leokadii na tyle, że zniknął jej z oczu za drzewami. Starsza pani, znajdując się w stanie ciężkiego szoku, na wszelki wypadek postanowiła wrócić do domu inną drogą, a po powrocie zażyć zioła na detox.

W międzyczasie skojarzyło jej się z dzieciństwa coś na temat stracha na wróble z krainy Oz, który również był żywy i marzył o tym, żeby dostać rozum od czarnoksiężnika. Pomyślała, że to może wciąż ten sam cudak, który nadal chodził po świecie, bo nie odnalazł tego, o czym tak namiętnie marzył. Kiedy tak sobie pomyślała, zrobiło jej się go szkoda. Zawahała się nawet, czy nie zawrócić i nie zapytać, czy przypadkiem nie zabłądził w drodze do czarnoksiężnika. Jednak ostatecznie doszła do wniosku, że najwyższy czas wrócić do domu i odpocząć, bo chyba coś niedobrego zadziało się z jej rozumem, jako że przecież zarówno czarnoksiężnik, kraina Oz, jak i żywy strach na wróble, nie mogli być prawdziwi.

* * *

Słońce wspięło się już wysoko na niebo i prażyło niemiłosiernie. Staszek szedł poboczem, a raczej przemieszczał się jak paralityk. Po wykonaniu kilkunastu lub, w najlepszym wypadku, kilkudziesięciu kroków, nadjeżdżał kolejny samochód, a wtedy on zamierał w bezruchu z rękami rozłożonymi na boki, bo jak sądził, tak właśnie powinien stać porządny strach na wróble. Po paru godzinach tej dziwacznej gimnastyki doszedł do wniosku, że życie słomianego strażnika płodów ziemi jest znacznie bardziej męczące, niż mogłoby się to wydawać z boku.

Kolejne auto nadjeżdżało bardzo wolno, dlatego Staszek musiał zastygnąć w bezruchu na dłużej. Kiedy samochód znalazł się na jego wysokości, kątem oka zobaczył, jak przez uchyloną tylną szybę gapi się na niego dziecięca gęba z palcem w nosie.

– Tato, patrz, strach na wróble przy drodze!

– Jakiś debil wystawił – odpowiedział ojciec, nie odwracając głowy. – Pewnie po weselu. Siedź prosto.

Po chwili z tego samego okna, ale już kilkanaście metrów dalej, wyleciała pusta puszka po coca-coli i odbiła się od kapelusza Staszka, upadając na jezdnię z głuchym brzękiem. Samochód przyspieszył. Strach stał jeszcze przez chwilę z rozłożonymi rękami, choć auto dawno już zniknęło za zakrętem.

„Debil" – powtórzył w myślach, a jeszcze wczoraj powiedziałby to samo i nawet by się nie zająknął.

Później było tylko gorzej. Rowerzysta w obcisłych spodenkach, które nie mieściły mu się na dupie, odsłaniając zalotnie górny fragment przedziałka między pośladkami, zrobił mu zdjęcie telefonem i odjechał, rechocząc pod nosem jak idiota.

Następnie przetaczający się z wolna kombajn obsypał go pyłem tak, że kichnął kilka razy, chociaż nie był pewien, czym właściwie kicha. A na koniec podbiegł do niego wiejski kundel, obwąchał go z zaciekawieniem, po czym bez żadnego zażenowania podniósł nogę i nalał mu na nogawkę.

– No kurwa, serio?! – wrzasnął Staszek, a przerażony pies podskoczył na pół metra w górę, zaskomlał i uciekł w las z podkulonym ogonem.

Słoma w lewej nogawce nasiąkała powoli i nieodwracalnie. Staszek usiadł na przystanku autobusowym pod blaszaną wiatą, bo nie miał już siły dalej iść, a poza tym uznał, że w tym miejscu nikt nie powinien się dziwić, że strach na wróble siedzi i czeka na transport publiczny. Rozkład jazdy był tak wyblakły, że nie dało się z niego niczego odczytać. Staszek miał to zasadniczo w głębokim poważaniu, bo zaczęła go dopadać rezygnacja, poczucie beznadziei i lęk przed przyszłością.

Siedział zasępiony dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy chłopaki w ogóle go szukają, czy może pojechali do domu i opowiadają wszystkim, że Stacha porwał krasnal. Nagle usłyszał skrzypienie. Rytmiczne, natrętne, coraz bliższe. Z bocznej drogi wyłoniła się drobna staruszka w chustce na głowie, pchająca przed sobą starą, zardzewiałą taczkę. W taczce leżał zwinięty koc w kratę, a na nim reklamówka z dwoma słoikami jagód.

Leokadia zatrzymała się kilka kroków od przystanku i spojrzała na stracha. Strach spojrzał na nią. Nikt się nie ruszył.

Przez całą drogę do domu przekonywała samą siebie, że to były grzyby od sąsiadki. Wypiła napar z ziół na odtrucie, położyła się, nawet przymknęła oczy, ale sen nie przychodził. Przed oczami cały czas miała to biedne straszydło, które kuśtykało

poboczem, zatrzymując się przy każdym samochodzie, jakby się bało, że ktoś je zobaczy. Wtedy pomyślała, że nawet jeśli jej rozum odmówił posłuszeństwa, to serce wciąż było na swoim miejscu. I że nie wybaczyłaby sobie, gdyby ktoś zostawił w taki upał na pastwę losu żywą istotę, nawet jeśli była ze słomy. Wyciągnęła więc taczkę z szopy i wróciła na drogę.

– Zabłądziłeś, synku? – spytała w końcu, ściskając oburącz rączki taczki, na wszelki wypadek, gdyby trzeba było się bronić.

Staszek nie odpowiedział. Uznał, że skoro grubas w vanie na jego widok omal nie wjechał pod tira, dzieciak z samochodu poczęstował go puszką, a pies potraktował jak przydrożny słupek, to najrozsądniej będzie dalej udawać, że jest zwykłym, niczym niewyróżniającym się strachem na wróble.

– Widziałam cię, nie udawaj – powiedziała Leokadia nieco ostrzej. – Szedłeś drogą jak człowiek. I psa przegoniłeś, bo słyszałam, jak klniesz. Ładnie to tak?

Strach westchnął. Z jego ubrania uniósł się mały obłoczek kurzu.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Ten sierściuch się odlał na mnie.

Leokadia przez moment milczała. Coś zadrżało w jej twarzy, jakby kawałek jej duszy chciał uciekać, a reszta jeszcze się nad tym zastanawiała. W końcu pokiwała głową, jakby właśnie potwierdziły się jej najgorsze, ale też najbardziej ekscytujące przypuszczenia.

– To jednak nie grzyby – stwierdziła z pewną ulgą. – No dobrze. A dokąd idziesz? Do tego czarnoksiężnika, co to rozum rozdaje?

– Ale że co? – nie zrozumiał Staszek.

– No, do czarnoksiężnika z krainy Oz. Czytałam o tobie jako dziecko. Myślałam, że to bajka, a ty tu siedzisz naprawdę na przystanku w Wólce.

– Nie, proszę babci – pokręcił słomianą głową, aż zachrzęściło. – Ja nie jestem z żadnej bajki. Nazywam się Stanisław Wróbel. Mieszkam pod Kurowem. Jeszcze wczoraj byłem normalnym człowiekiem, a dzisiaj obudziłem się taki na polu. Kumple mówią, że to przez jedną dziewczynę, z którą się pokłóciłem, a ona podobno jest wiedźmą. Jechaliśmy do niej w góry, ale ukradli nam samochód razem ze mną w środku, a potem ten tłuścioch wyrzucił mnie na pobocze. Dlatego tu jestem. Nie wiem, co robić – na koniec głos mu zadrżał.

Zaraz po tym pomyślał, że gdyby był na miejscu tej babuszki, to uznałby, że albo on sam postradał zmysły, albo ona. Albo oboje.

Leokadia natomiast tylko popatrzyła na niego uważnie, tak jak patrzy się na wnuka, który wraca z podwórka z rozbitym kolanem i zmyśla, że to wcale nie było drzewo, tylko niedźwiedź.

– Wróbel, mówisz – powiedziała w końcu. – Stach na Wróble. No to już wiem, za co cię tak urządziła.

Staszek nie wiedział, czy ma się śmiać, czy obrazić. Leokadia tymczasem rozłożyła koc w taczce, wyjęła z niej słoiki i przestawiła je na ziemię.

– Wsiadaj – rozkazała tonem, który nie znosił sprzeciwu. – Przykryję cię kocem, żeby ludzie nie gadali. Do mnie niedaleko. U mnie przynajmniej wyschniesz.

– Pani babcia mnie powiezie? Ja jestem lekki, ale…

– Synku, po tym, jak klniesz, to słychać, żeś młodszy od tej taczki. Ja w niej woziłam worki z ziemniakami, jak ty jeszcze w pieluchy robiłeś. Wsiadaj, nie gadaj.

Staszek wgramolił się do taczki, a staruszka przykryła go kocem, poprawiła brzegi i ułożyła na wierzchu słoiki z jagodami, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Potem chwyciła za rączki i ruszyła. Taczka skrzypiała przy każdym obrocie koła. Pod kocem pachniało kurzem, słońcem i jagodami, i Staszek pomyślał, że dawno nikt się o niego tak nie zatroszczył. W zasadzie to nie był pewien, czy kiedykolwiek ktoś to zrobił.



* * *

Chałupa Leokadii stała na skraju wsi, przytulona do starej gruszy, jakby się bała, że bez niej się przewróci. Dach był załatany w kilku miejscach blachą, a w jednym oknie zamiast

szyby wstawiona była tektura. W środku było jednak czysto i chłodno. Na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej, kalendarz sprzed trzech lat i fotografia przystojnego mężczyzny w mundurze strażaka.

– To mój Henio – powiedziała Leokadia, widząc, że strach patrzy na zdjęcie. – Dwadzieścia lat temu zmarł. Też palił. Ale papierosy, nie to, co ty.

Staszek zdrętwiał.

– Skąd babcia wie, że…

– Czuć od ciebie na kilometr. Jak od suszarni ziół. Siadaj tu, przy piecu, to wyschniesz.

Usiadł na stołku przy kaflowym piecu, który mimo upału był lekko ciepły. Leokadia nalała sobie kompotu, postawiła na stole miskę jagód, posypała je cukrem i zalała mlekiem. Potem spojrzała na niego pytająco.

– Ja nie mogę – wyjaśnił z żalem. – Wszystko ze mnie wycieka.

– No to chociaż popatrz, jak ja jem. W towarzystwie raźniej.

I tak siedzieli. Leokadia jadła jagody z mlekiem, a Staszek patrzył i słuchał. Opowiadała o tym, że jej i Henia jedyny syn od piętnastu lat mieszka w Irlandii i dzwoni na święta, a wnuków widziała dwa razy w życiu, z czego raz na ekranie telefonu. O tym, że sąsiedzi mówią o niej „ta stara wariatka spod gruszy", bo rozmawia z kurami. O tym, że w urzędzie gminy kazali jej przyjść z jakimś zaświadczeniem, a potem z innym, a potem jeszcze z innym, aż w końcu dała sobie spokój z dodatkiem do węgla i zimą grzała chrustem z sadu.

– Ale nie narzekam – dodała, oblizując łyżkę. – Pan Bóg dał mi zdrowie, a resztę sama sobie jakoś poukładam.

Staszek słuchał i coś go uwierało gdzieś w środku słomy. Przypomniało mu się, jak wczoraj w piwnicy u Leona nawijał przy wódce, że w tym kraju każdy ma to, na co sobie zapracował, że biedni są biedni, bo im się nie chce, a ci, co narzekają, to niech wezmą się do roboty. Pamiętał, jak Natalia długo patrzyła na niego wtedy w milczeniu swoimi czarnymi oczami, a ptak w jej włosach przekrzywiał łebek, jakby też słuchał. I pamiętał, co mu w końcu odpowiedziała: „Łatwo ci gadać, bo ciebie ludzie zauważają. Ciekawe, co byś mówił, jakbyś sam był kimś niewidzialnym dla innych".

Wtedy go to rozbawiło. Teraz nie było mu do śmiechu.



– Babciu Leokadio – odezwał się, zanim zdążył się zastanowić. – Ta dziura w dachu nad drzwiami... Z niej to chyba cieknie, jak pada?

– Cieknie – przyznała. – Podstawiam wiadro.

– Mój ojciec ma w stodole całą rolkę papy. Leży tam od lat. Jak tylko… jak tylko wrócę do siebie, to przyjadę z kumplami i to załatamy. Słowo.

Leokadia popatrzyła na niego dłuższą chwilę, a potem uśmiechnęła się tak, że jej twarz zmarszczyła się jak jabłko pieczone w piecu.

– Dobre z ciebie dziecko, Stasiu – powiedziała. – Tylko chyba trochę głupie.

Wstała, wzięła z komody koszyk z przyborami do szycia i usiadła naprzeciwko niego.

– Pokaż no tę nogawkę. Taki porządny strach, a w dziurawych portkach chodzi. Wstyd.

Pochyliła się nad jego kolanem i zaczęła cerować dziurę grubą, szarą nicią, mrucząc pod nosem jakąś starą piosenkę. Staszek siedział bez ruchu i nagle poczuł coś dziwnego. Lekkie mrowienie, jakby tysiąc mrówek przebiegło mu po prawej dłoni. Spojrzał w dół i zamarł.

Spod słomy, w miejscu, gdzie powinien być palec wskazujący, wystawał… palec. Prawdziwy, ludzki palec, z paznokciem obgryzionym tak samo, jak zawsze i z małą blizną, którą sobie zrobił w trzeciej klasie, skacząc przez płot sąsiada.



Staszek nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Bał się, że jeśli się odezwie, to palec zniknie. Leokadia nie zauważyła niczego, bo była zajęta cerowaniem i nuceniem. Za oknem słońce zaczęło już powoli schodzić w kierunku lasu.

Przez umysł Staszka przemknęła mglista myśl, że może zły urok dałoby się jakoś odkręcić bez tej wiedźmy Natalii. Palec pojawił się przecież bez żadnego związku z nią, tylko wtedy, kiedy pierwszy raz od dawna pomyślał o kimś innym niż o sobie.

* * *

Tymczasem golf Edyty jechał równo osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Ani mniej, ani więcej. Na prostym odcinku drogi, gdzie spokojnie można było jechać setką, mijały ich kolejne samochody, a ich kierowcy rzucali w stronę starego golfa spojrzenia pełne politowania lub irytacji. Rafał siedział z

przodu, bo „jako ten, który zapoznał się z Edytą jako pierwszy, miał do tego prawo” i co jakiś czas zerkał na licznik, wzdychając ciężko i sapiąc, jakby każdy kolejny kilometr kosztował go rok życia.



– Edytko – odezwał się w końcu najsłodszym tonem, na jaki było go stać. – A gdybyśmy tak troszeczkę przyspieszyli? Tak tylko troszeczkę. Bo wiesz, nam odrobinkę zależy na czasie.

– Mówiłam, że ja decyduję o prędkości – odpowiedziała beznamiętnym tonem, nie odrywając wzroku od drogi. – Moja babcia mówi, że kto się spieszy, ten się diabłu kłania.

– That’s what she said – mruknął Leon z tylnego siedzenia, ale na tyle cicho, że usłyszał go tylko Tomek.

Swoją drogą Leon czuł się coraz gorzej. Zapach wanilii, wymieszany z resztkami wódki w jego żołądku, tworzyły mieszankę wybuchową. Do tego z głośników płynęła kolejna piosenka o miłości, która wszystko przetrwa i Leon zaczynał podejrzewać, że jeśli on z kolei przetrwa następną piosenkę w

tym stylu, to już nic go w życiu nie złamie. Tomek siedział obok niego z pluszowym jednorożcem na kolanach, gdyż Edyta poprosiła go, żeby „potrzymał Adasia, bo zsuwa się z półki", mając wyraz twarzy człowieka, który pogubił się, czy to pojebany sen, czy kara na jawie.

– Weź może wrzuć coś na żołądek – powiedział do Leona, widząc, że tamten robi się coraz bardziej zielony na twarzy.

– Nic nie mam – wymamrotał Leon. – Wszystko zostało w vanie ze Staszkiem.

– Ciekawe czy ten krasnal już go zjarał – zastanowił się Tomek.

– Nie mów tak – warknął Leon.

– No co? Słoma się dobrze pali – starał się wyjaśnić swój tok rozumowania.

W odpowiedzi Leon spojrzał na niego tak, że Tomek poczuł potrzebę przytulić jednorożca i zamilknąć.

Po kolejnych dwudziestu kilometrach Edyta zjechała na pobocze i zatrzymała wóz przy przydrożnej kapliczce. Wysiadła, poprawiła warkoczyki, podeszła do figurki Matki Boskiej w niebieskim płaszczu, przeżegnała się i położyła na cokole polny kwiatek, który zerwała po drodze. Potem, jakby nigdy nic, wróciła do auta.

– Zawsze tak robię, jak jestem w dalekiej podróży – wyjaśniła, widząc w lusterku dwie pary zdumionych oczu i jedną z siedzenia obok. – Wtedy nic złego się nie stanie.

– A co, jeśli już coś złego się stało? – spytał Leon, zanim zdążył ugryźć się w język.

Edyta zatrzymała dłoń na kluczyku i chłodno spojrzała na niego w lusterku. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. Potem

odpaliła silnik i ruszyła, nadal rozwijając maksymalnie osiemdziesiąt na godzinę.

* * *

Na kolejnym postoju, przy budce z zapiekankami, dziewczyna poszła do toalety, a chłopaki stanęli w cieniu i zapalili papierosy.

– Panowie, w tym tempie w najlepszym wypadku do celu dotrzemy jutro – powiedział Rafał, podciągając spodenki. – Albo i pojutrze. Ona chyba w ogóle nie wie, gdzie jest pedał gazu.

– Ale za to jest dosyć miła – zauważył nieśmiało Tomek.

– Miła? – Rafał parsknął. – Stary, to jest brzydula z aparatem na zębach, która wozi pluszaki i modli się do każdej przydrożnej kapliczki. Dobrze, że ty jej się podobasz, to przynajmniej mamy transport. Musisz ją trochę pobajerować, żeby przyspieszyła.

– Sam ją bajeruj. Ty to zacząłeś. A w ogóle skąd pomysł, że ja jej się podobam?

– Bo ty jesteś „piękny jak młody Bóg". Ja jestem „praktykant ze stacji". Widziałem, jak na ciebie patrzy.

– Odwal się.

Leon nie wtrącał się do rozmowy, bo był zajęty tym, żeby zapiekanka, którą właśnie zjadł, pozostała tam, gdzie powinna. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył Edytę. Stała dwa kroki za Rafałem, z założonymi rękami i patrzyła na nich lodowatym wzrokiem zza swoich grubych okularów.

– Brzydula z aparatem – powtórzyła spokojnie. – Ładnie.

Rafał odwrócił się powoli, jak człowiek, który dobrze wie, że za plecami ma dzikiego niedźwiedzia.

– Edytko, to nie tak, ja tylko…

– Daj spokój. Słyszę to od podstawówki. Myślałam, że chociaż dorośli faceci są trochę mądrzejsi. – Poprawiła okulary. – I to nie jest żaden festiwal folkloru, prawda? Jedziecie do Natalii.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko skwierczenie zapiekanek na grillu i jakąś muchę, która uznała, że Leon to najciekawsze, co ją dzisiaj spotkało.

– Skąd wiesz? – spytał w końcu Tomek.

– Bo Natka to moja kuzynka – odpowiedziała Edyta. – I dzisiaj rano napisała mi esemesa. – Wyjęła telefon z kieszeni ogrodniczek i przeczytała na głos: – „Jedź spokojnie, nie spiesz się. Po drodze zabierzesz trzech chłopaków. Jeden jest przystojny, ale głupi. Drugi jest zielony, ale ma dobre serce. Trzeci będzie cię bajerował. Nie wierz mu". – Schowała telefon i dodała: – Myślałam, że to jej kolejny żart, ale jak ten grubszy podszedł do mnie na stacji i zaczął, to już wiedziałam.

Rafał zrobił minę, jakby ktoś go spoliczkował. Tomek przyciskał do piersi jednorożca, którego zapomniał odłożyć w ferworze walki. Leon, mimo nudności, poczuł, że coś mu się w głowie układa.

– To ty wiesz, co Natalia zrobiła Staszkowi? – spytał.

– Wiem tyle, co mi opowiedziała wczoraj w nocy przez telefon – Edyta usiadła na ławce obok budki. – Że był na imprezie jakiś wieśniak, co jej przez godzinę tłumaczył, że biedni są biedni, bo są leniwi, Cyganie kradną, a brzydkie dziewczyny same są sobie winne, bo o siebie nie dbają. I że ona mu powiedziała, że łatwo mu gadać, bo jego ludzie zauważają, i ciekawe, co by mówił, jakby sam był kimś niewidzialnym dla innych. A on się z nią założył, że nawet jakby był, jak to powiedział, „strachem na

wróble", to i tak ludzie by go szanowali, bo szacunek zależy od tego, co ktoś robi, a nie od tego, jak wygląda.

– No i? – spytał Rafał, chociaż już się domyślał.

– No i Natka powiedziała, że przyjmuje zakład. – Edyta wzruszyła ramionami. – Ona zawsze dotrzymuje słowa. To rodzinne.

– Ale to można jakoś odkręcić, nie? – Tomek zrobił krok w jej stronę. – Natalia może to cofnąć?

– Nie Natka – pokręciła głową. – Ona tylko zawiesiła zakład. Rozstrzygnąć go może tylko on sam. Jak ktoś obcy zobaczy w nim człowieka, chociaż wygląda jak strach i jak on sam zobaczy człowieka w kimś, kogo wcześniej by nie zauważył, to czar puści. Tak mi powiedziała.

– A jak nie? W sensie jak nikt w sobie nie zobaczy tego, co trzeba? – spytał Leon.

Edyta podniosła wzrok na niebo. Słońce stało już wyraźnie niżej niż wtedy, kiedy wyjeżdżali ze stacji.

– Zakład trwa do zachodu słońca – powiedziała cicho. – Potem słoma zostaje słomą na zawsze.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Mucha wylądowała na nosie Leona, a on nawet jej nie przegonił.

– Kurwa – powiedział w końcu Rafał, a potem spojrzał na Edytę i dodał trochę ciszej: – Przepraszam. Za tę brzydulę. I za tego praktykanta.

– Wiem – odpowiedziała. – Natka mi napisała, że przeprosisz.

Wstała z ławki, otrzepała ogrodniczki i ruszyła w stronę golfa. Po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła.

– No co tak stoicie? – rzuciła. – Musimy znaleźć tego waszego kolegę, co mu słoma z butów wystaje, przed zachodem słońca. Wsiadajcie.

– A osiemdziesiąt na godzinę? – nie wytrzymał Rafał.

Edyta po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się szeroko, aż błysnął aparat na zębach.

– Babcia mówi, że kto się spieszy, ten się diabłu kłania – powiedziała. – Ale babcia nie jechała nigdy za kradzionym vanem.

Tomek pierwszy wsiadł do samochodu, tym razem na miejsce obok kierowcy. Nikt nie protestował.

* * *

Golf nie jechał już osiemdziesiąt na godzinę. Jechał sto dwadzieścia, potem sto czterdzieści, a w zakręty Edyta wchodziła tak, że pluszaki z tylnej półki lądowały chłopakom na głowach. Z głośników nadal płynęły piosenki o miłości, ale nikt już nie narzekał. Leon trzymał się uchwytu nad drzwiami, Rafał zaciskał zęby, a Tomek patrzył na profil dziewczyny, której okulary zsunęły się na czubek nosa, i myślał, że jeszcze nigdy nie widział kogoś tak skupionego na tym, co robi.

– Tam! – krzyknął nagle Rafał, wskazując palcem przydrożny bar z wielkim, wyblakłym szyldem „U Zdzicha – obiady domowe”. – To mój van!

Edyta zahamowała tak gwałtownie, że jednorożec wyleciał Tomkowi z rąk i odbił się od przedniej szyby. Na parkingu przed barem stał siedmioosobowy chrysler z charakterystycznym wgnieceniem na tylnym zderzaku. Rafał wyskoczył z golfa, zanim

zdążył się zatrzymać i dopadł do vana. Szarpnął za tylne drzwi. Były otwarte.

W środku nie było nikogo. Na tylnej, welurowej kanapie leżało tylko kilka źdźbeł słomy.

– Nie ma go – oznajmił głucho.

Leon podszedł i wyjął ze środka jedno źdźbło. Obracał je w palcach, jakby mogło mu coś powiedzieć.

– To może dobrze – odezwała się za nimi Edyta. – Może poszedł swoją drogą.

– Albo ten krasnal go gdzieś wyrzucił – Tomek spojrzał w kierunku baru. Przez brudną szybę widać było małego, łysego mężczyznę w kamizelce safari, który pochylał się nad talerzem ze schabowym z ziemniakami i mizerią i łapczywie pochłaniał kęs za kęsem.

Rafał zacisnął pięści i ruszył w stronę drzwi baru. Edyta złapała go za rękaw.

– Czekaj. Najpierw się dowiedzmy, gdzie go zostawił – powiedziała. – A dopiero potem możesz go zabić.

Rafał popatrzył na nią upiornym wzrokiem, potem na łysego grubasa za szybą i kiwnął głową. Słońce dotknęło już czubków drzew po drugiej stronie drogi.

* * *

W barze „U Zdzicha" pachniało smażonym olejem, kapustą i czymś, czego nikt nie chciałby nazwać po imieniu. Przy oknie siedział łysy złodziej i właśnie wpychał do ust ostatni kawałek schabowego, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, a do środka wpadła dziwaczna ekipa. Na czele szedł brodaty olbrzym z

zaciśniętymi pięściami, za nim chudzielec w okularkach, ściskający pod pachą pluszowego jednorożca, za nimi trzeci chłopak, zielony na twarzy, a pochód zamykała rudowłosa dziewczyna w ogrodniczkach.

Grubas spojrzał na nich, potem przez okno na parking, gdzie stał van z otwartymi tylnymi drzwiami i w jednej sekundzie zrozumiał wszystko. Widelec wypadł mu z ręki i z brzękiem odbił się od talerza.



– Panowie, ja… – zaczął.

– Mój van – wycedził Rafał, nachylając się nad nim tak, że jego broda niemal dotykała łysiny złodzieja. – Mój pierdolony van.

– Ja oddam! Ja wszystko oddam! – grubas podniósł obie ręce w geście poddania, a z kieszeni kamizelki wypadły kluczyki. – Ja tylko… mój się zepsuł pod Radomiem, a ja muszę być na wieczór w Zakopanem, bo córka… znaczy ja tylko pożyczyłem! Na chwilę!

– Gdzie on jest? – Leon wyminął Rafała i usiadł naprzeciwko grubasa. Spojrzał mu prosto w oczy z taką powagą, że tamten aż się skulił.

– Kto?

– Strach na wróble. Ten, co leżał na tylnym siedzeniu.

Twarz złodzieja w jednej chwili zmieniła kolor z czerwonego na szary. Przełknął ślinę tak głośno, że usłyszała to nawet kelnerka za ladą.

– To wasze? – wyszeptał. – Panowie, ja nie chciałem. Ja myślałem, że mi się przywidziało. On się ruszał. Siadał, kładł się, odwracał na drugą stronę. Ja o mało pod tira nie wjechałem. Wyrzuciłem go na trawę przed Wólką, na prostej za lasem. I od razu pojechałem, jak najdalej. – Przeżegnał się szybko trzy razy. – To było diabelstwo. Ja od dzisiaj do kościoła chodzę. Słowo daję.

– To był nasz kumpel – powiedział Tomek z naciskiem.

Grubas popatrzył na niego dzikim wzrokiem, potem na jednorożca pod jego pachą, potem na pozostałych. Szybko zrozumiał, że dla własnego zdrowia psychicznego lepiej z nimi nie dyskutować.

– Przed Wólką – powtórzyła Edyta, patrząc na zegarek. – Wracamy. Mamy niecałą godzinę.

Rafał zgarnął ze stołu kluczyki. Przez chwilę wyglądało na to, że jeszcze coś zrobi. Grubas zamknął oczy i skulił się w sobie. Ale Rafał tylko wyprostował się, podciągnął spodenki i powiedział:

– Za paliwo i tak zapłacisz.

Złodziej bez słowa wyjął z portfela dwie stówy i położył je na stole. Rafał zabrał banknoty, a potem, ku zaskoczeniu

wszystkich, dorzucił od siebie na tacę kelnerki dwadzieścia złotych.

– Za schabowego – wyjaśnił. – Żeby nie było, że my tacy jak ty.

* * *

Do Wólki jechali konwojem: z przodu odzyskany van z Rafałem za kierownicą i Leonem obok, z tyłu golf Edyty z Tomkiem na miejscu pasażera. Rafał co chwilę dotykał deski rozdzielczej, jakby chciał się upewnić, że to naprawdę jego auto, a Leon wpatrywał się w pobocze tak intensywnie, że rozbolały go oczy. W każdym snopku siana, w każdej kupie gałęzi, w każdym przydrożnym krzyżu widział Staszka.

– A jak już jest po wszystkim? – odezwał się w końcu Rafał. – Jak już tylko słoma została?

– Jeszcze nie zaszło – odpowiedział Leon, patrząc na pomarańczową kulę słońca nad lasem. – Jeszcze nie.

Na prostej za lasem zatrzymali się i wygramolili z aut. Przeczesali pobocze w obie strony, krzycząc imię Staszka. Znaleźli puszkę po energetyku, kilka źdźbeł słomy w trawie i ślady, które prowadziły w stronę przystanku. Na przystanku nie było nikogo. Za to w kurzu na poboczu widać było wyraźnie jeden ślad – podwójną linię, jakby coś ciężkiego jechało na jednym kółku.

– Taczka – stwierdziła Edyta, przykucając. – Ktoś go zabrał taczką.

– Kto, kurwa, wozi stracha na wróble taczką? – zdziwił się Rafał.

– Ktoś, kto zobaczył w nim człowieka – odpowiedziała tonem objawienia, a potem wstała i pokazała palcem na koniec wsi, gdzie nad starą gruszą unosiła się cienka smużka dymu z komina. – Tam prowadzi.

* * *

W chałupie pod gruszą Staszek siedział przy oknie i patrzył na swoje ręce. Lewa nadal była cała ze słomy. Prawa natomiast miała już trzy ludzkie palce i kawałek śródręcza, które wyglądały, jakby ktoś je przyszył do snopka. Leokadia zauważyła je przy cerowaniu, kiedy przytrzymywał nogawkę. Przyglądała się im długo przez okulary, potem pokiwała głową, jakby właśnie potwierdziło się coś, czego od dawna się spodziewała i powiedziała tylko: „No widzisz. A mówiłam, że dobre z ciebie dziecko".

Teraz krzątała się przy kuchni, a Staszek wpatrywał się w zachodzące słońce i czuł, jak coś ściska go w środku. Nie wiedział, ile ma czasu, ani na co. Wiedział tylko, że kiedy słońce znika za lasem, robi się ciemno i chłodno, a on miał niejasne przeczucie, że z tą ciemnością może przyjść coś ostatecznego.

– Babciu Leokadio – odezwał się. – A babci nie jest smutno tak samej?

Staruszka znieruchomiała z czajnikiem w ręku. Postawiła go powoli na blasze i usiadła naprzeciwko niego przy stole.

– Smutno, synku – powiedziała po chwili. – Najbardziej wieczorami. W dzień to jest robota, kury, ogród. A wieczorem człowiek siada i nie ma do kogo słowa powiedzieć. To mówię do Henia na zdjęciu. Albo do Matki Boskiej. Ale oni nie odpowiadają.

– Uśmiechnęła się lekko. – Dzisiaj pierwszy raz od dawna ktoś mi odpowiada. Nawet jak jest ze słomy.

Staszek patrzył na jej pomarszczone dłonie złożone na ceracie. Na żyłki, które wyglądały jak korzenie starej gruszy za oknem. Na obrączkę, która była za luźna i obracała się na chudym palcu. Pomyślał, że codziennie mijał takie babcie w sklepie, na przystanku, pod kościołem. Mijał je i ich nie widział. Były jak tło. Jak strachy na wróble na cudzym polu.

– Ja tu przyjadę – powiedział. – Nie tylko z tym dachem. Tak po prostu. Na herbatę.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Wtedy po raz pierwszy od rana poczuł, że słoma w jego piersi robi się ciepła. Nie gorąca, nie paląca, tylko ciepła, jak kamień nagrzany przez słońce. Ciepło rozlało się po całym słomianym ciele, mrowienie przeszło przez ramiona, szyję, aż do czubków palców lewej ręki. Spojrzał w dół i zobaczył, jak źdźbło za źdźbłem zamienia się w skórę.

I dokładnie w tym momencie przed chałupą rozległ się klakson. Długi, natarczywy, a po nim drugi, cieńszy, jakby piszczący.

– Staszeeek! – wrzasnął ktoś z zewnątrz.

Leokadia zerwała się od stołu, chwyciła pogrzebacz, który stał oparty o piec i ruszyła do drzwi. Otworzyła je zamaszyście i stanęła w progu, gotowa do obrony. Na podwórku, pomiędzy kurami, które rozbiegły się z gdakaniem, stały dwa samochody, a obok nich trzej chłopcy i dziewczyna w ogrodniczkach.

– Kim wy jesteście? – zapytała groźnie, unosząc pogrzebacz.

– Kumplami Staszka! – krzyknął Tomek i machnął jednorożcem, którego nie wypuszczał z dłoni, jakby to był rodzaj legitymacji. – Szukamy go! Taki ze słomy, w kapeluszu…

– On tu jest? – Leon zrobił krok do przodu. – Proszę pani, błagam, niech pani powie, że jest.

Leokadia spojrzała na nich uważnie. Najpierw na brodacza, potem na chudzielca z pluszakiem, na zielonego od nudności Leona i wreszcie na dziewczynę, która zamiast patrzeć na nią, patrzyła na zachodzące słońce. Ostatni jego skrawek właśnie chował się za lasem.

– Jest – powiedziała w końcu i opuściła pogrzebacz. – Ale chyba nie taki, jakiego szukacie.

Odsunęła się od drzwi. W progu chałupy stanął Staszek.

Był człowiekiem. Całym. Od rozczochranej czupryny po bose stopy. Miał na sobie wyłącznie kapelusz, który zsunął mu się na bakier, i resztki słomy, które opadały z niego na podłogę jak jesienne liście. Poza tym był zupełnie, dokumentnie, całkowicie goły.

Przez długą chwilę nikt się nie odezwał. Kury, które zdążyły już wrócić na podwórko, gdakały z oburzeniem. Leokadia jako jedyna niezaskoczona zdjęła z wieszaka przy drzwiach stary strażacki płaszcz Henia i bez słowa zarzuciła go Staszkowi na ramiona.

– No i ładnie – powiedziała. – Henio by się ucieszył, że komuś się przyda.

Leon pierwszy rzucił się na Staszka, przytulając go razem z płaszczem, kapeluszem i resztkami słomy. Za nim Rafał, który znowu zaczął płakać prawdziwymi łzami, a potem Tomek, który w ostatniej chwili przypomniał sobie, że trzyma jednorożca i

wcisnął go do ręki Edyty. Przez chwilę wszyscy czterej stali spleceni na progu chałupy w jeden dziwaczny, roześmiany kłębek.



– Jak to zrobiłeś? – spytał w końcu Leon, odsuwając się i oglądając kumpla od stóp do głów, na ile pozwalał płaszcz. – Jak to odkręciłeś?

Staszek spojrzał na Leokadię, która stała z boku i ocierała oczy rąbkiem fartucha.

– To nie ja – powiedział. – To babcia Leokadia.

– Bzdury gadasz – machnęła ręką staruszka. – Ja tylko ci nogawkę zacerowałam.

Edyta podeszła do niej i delikatnie wzięła ją za rękę.

– Nie tylko – powiedziała cicho. – Pani zobaczyła w nim człowieka, kiedy wszyscy inni widzieli stracha. A on zobaczył panią. To wystarczyło.

Leokadia popatrzyła na dziewczynę z aparatem na zębach, potem na Staszka w strażackim płaszczu męża i nagle się roześmiała. Głośno, serdecznie, jak ktoś, komu od dawna nie zdarzyło się śmiać.

W tym momencie na gałęzi starej gruszy wylądował mały, szaroniebieski ptaszek. Przekrzywił łebek, popatrzył uważnie na całe towarzystwo na podwórku, zaćwierkał krótko i odfrunął w stronę gór. Chwilę później w kieszeni ogrodniczek Edyty brzęknął telefon. Dziewczyna zerknęła na ekran i przeczytała na głos: „Zakład przegrał, ale chyba nie żałuje. Pozdrów ode mnie babcię Leokadię".

– Skąd ona wie, jak mam na imię? – zdziwiła się staruszka.

– Natka – westchnęła Edyta i uśmiechnęła się pod nosem. – Ona zawsze wszystko wie. I zawsze musi mieć ostatnie słowo.

* * *

Tydzień później w Wólce rozległ się od samego rana stukot młotków. Na dachu chałupy pod gruszą siedziało czterech młodych mężczyzn i przybijało papę, którą przywieźli w siedmioosobowym vanie, który po raz pierwszy od lat został wysprzątany na błysk, bo Rafał uznał, że po tym wszystkim należy mu się nowe życie.

Leokadia krzątała się w ogrodzie, wynosząc na stół pod gruszą kompot, placek z jagodami i talerze pierogów. Przy stole siedziała Edyta, która przyjechała golfem z Tomkiem na miejscu pasażera. Tomek dawno przestał wspominać o Natalii. Teraz co chwilę schodził z dachu pod byle pretekstem, żeby przysiąść się do Edyty i z niezwykłym zaangażowaniem słuchał, jak opowiada

o festiwalu folkloru, na który w końcu jednak dojechała. Jednorożec siedział z nimi przy stole.



– Panie Rafale, niech pan zejdzie na pierogi, bo wystygną! – zawołała Leokadia.

– Jeszcze tylko jeden gwóźdź, babciu Leokadio!

– Mówi tak od godziny – zauważył Leon, schodząc po drabinie. – Ale zjem za niego.

Staszek zszedł ostatni. Usiadł przy stole, nalał sobie kompotu i wypił duszkiem całą szklankę. Napój popłynął mu do żołądka, tak jak powinien, nie wyciekając ani kropelką przez nogawki. Staszek uśmiechnął się sam do siebie. Od tamtego dnia każdy łyk napoju smakował mu jak cud.

– A u ciebie w domu co? – spytał Leon, nakładając sobie pierogów. – Stary nie pytał, gdzie się podział strach z pola?

– Pytał – Staszek odstawił szklankę. – Powiedziałem, że wiatr go porwał.

– I uwierzył?

– Nie wiem. Ale kazał zrobić nowego.

– I co, zrobiłeś?

– Zrobiłem – Staszek uśmiechnął się szelmowsko. – Ale tym razem się postarałem. Dałem mu porządne ubranie, ciepłą czapkę, żeby nie zmarzł w zimie. I uśmiech namalowałem. Taki porządny.

– A jaja? – spytał Leon z pełnymi ustami. – Też nie żałowałeś materiału?

Wszyscy przy stole parsknęli śmiechem, nawet Leokadia, która udawała, że nie słyszy, ale ramiona trzęsły jej się od tłumionego chichotu.

– Wiesz co? – powiedział Staszek, kiedy już wszyscy się uspokoili. – Teraz jak mijam na polu stracha na wróble, to zawsze mu kiwam głową. Na wszelki wypadek.

* * *

A w pewnym kościele w Zakopanem, w każdą niedzielę o dziesiątej, w pierwszej ławce siedzi mały, łysy mężczyzna w kamizelce safari. Modli się żarliwie i co chwilę zerka nerwowo przez ramię. Ksiądz proboszcz nie wie, co się przytrafiło temu parafianinowi, ale cieszy się, że ten tak gorliwie uczestniczy w nabożeństwach. Zauważył tylko, że kiedy w zeszłym miesiącu na dożynki wystawiono przed kościołem słomianą kukłę, ten bogobojny mężczyzna obszedł ją szerokim łukiem i przeżegnał się trzy razy.



Dziękuję za przeczytanie

Jeśli ta historia Cię rozbawiła, podaj ją dalej.
Ten plik możesz za darmo wysłać znajomym.

Więcej moich opowieści

Eutheum. Przebudzenie
pierwszy tom cyklu Eutheum

Niebiaki w opałach
książka dla dzieci

Tarot ze świata Eutheum: eutheum.com

Wszystkie książki: byjos.art

© 2026 Katarzyna Byjoś
Plik można udostępniać za darmo, w niezmienionej postaci.